

Kronika tygodniowa.

Aby przecież raz zadowolić tych, którzy narzekają na mnie za zbyt częste poruszanie spraw aprowizacyjnych, zaczynam bodaj niniejszą kronikę od czego innego, choć, kto wie, czy natura nie pociągnie wilka do lasu. To jest, nie skieruję mego pióra na tory aprowizacyjne.

Jak P. T. Czytelnikom zresztą wiadomo, kronikę tygodniową zaczynam już w sobotę, by mogła się znaleźć w świecie aż... we czwartek. Co się stanie w międzyczasie, to musi być z natury rzeczy odłożone na następny tydzień, w przewidywania więc i kombinacje polityczne, na tak daleki dystans, gdy każdy dzień może przynieść niespodziankę, bawić się trudno. Wybiera się więc materiały, mogące być aktualnymi tak dziś, jak i za tydzień, o reszcie dowiadują się Czytelnicy z telegramów i notatek pism codziennych.

Według zwyczaju przygotowałem więc sobie papier, pióro i atrament już w piątek popołudniu, a byłem wówczas bardzo pokojowo uposobiony, słysząc na każdym kroku, na ulicy, w lokalach publicznych, w prywatnych domach, tylko dyskusje na temat pokoju. Jakiś dowód, że wojna już się u nas chyba dość dała ludziom we znaki, skoro wszyscy mówią o pokoju, mówi się zaś zwykle o tem, czego się pragnie i spodziewa.

Powodem i przyczyną tego było oświadczenie obecnego rządu rosyjskiego, rozesłane do wszystkich państw wojujących, z wyjątkiem, o ile mi się zdaje, Czarnogóry, w którym komisarz ludowy dla spraw zagranicznych, pan Trocki, zawiadamia, że Rosya ma zamiar i ochotę zawarcia zawieszenia broni z mocarstwami centralnymi, a w następstwie tego wdrożenia kroków pokojowych. Jak z powyższego wynika, byłby to więc na razie pokój odrębny. Trzeba też czekać, co na to powiedzą współnicy Rosyi, w szczególności zaś Anglia, grająca pierwsze skrzypce w koalicji, a następnie Francya, związana z państwem byłego białego cara nie tyle może sympatyą prawdziwą, ile kwestyami pieniężnymi, a te, jak wiadomo, są dzisiaj pierwszorzędnego znaczenia. Wujaszek Wilson nie powinien się chyba mieszać do nie-swoich rzeczy; zwłaszcza, że sam już teraz z tem się manifestował, iż każdy naród powinien stanowić sam o sobie, zwłaszcza, że, wedle słów angielskich mężów stanu, obecna wojna toczy się tylko o wolność ludów choć złośliwi powiadają, że także i w obronie interesów Albionu.

Pan Wilson w każdym razie nie jest w tem przedsiębiorstwie bynajmniej zaangażowanym, chyba, że może na to konto spekulował na giełdzie i teraz obawia się wypuścić z rąk dobry interes.

Jeden jedyny król Mikołaj z Czarnogórza mógłby się uważać za pokrzywdzonego, skoro o nim w owej uciecie zapomniano, ale, czy będzie się kto liczył z jego głosem, w to bardzo wątpię. Sądzę więc, że chyba nie zgłosi swego *veto* , które zresztą i tak musiałoby przebrzmieć bez echa. Przyszłym swym losem nie powinien się przecież zbyt wiele trapić, choć bowiem pamiętając o nim koalicji przyjaciele, nie zapomnimy my, choć jest z nami na wojennej stopie. W każdym razie powinni sobie dobrze zapamiętać przysłowie: „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły!”...

Koalicja musi więc mieć obecnie dość rzadką minę i trzeba będzie puścić zułów w ruch sporo funtów szterlingów i dość się namozolić, by zmienić to, co już się stało. A kto wie, czy temu zadaniu sprosta nawet pan Buchanan, polityk pierwszej wody. Lud rosyjski pragnie pokoju, bo już i jemu otwarły się oczy, że własnymi rękami wyciąga dla kogo innego gorące kasztany z pieca, a zresztą Anglia nie powinna się sprzeciwiać swej własnej dewizie, że każdemu narodowi ma się zostawić wolną rękę i prawo decyzji o swych własnych losach. Chyba, że to, co wyżej powiedziano, mówiło się tylko o tak sobie, na wiatr, by świat zbalamniczyć i wznosiła zasadą pokryć swe właściwe cele.

O ile mnie to dotyczy, to muszę się przyznać, że ja i dziś jeszcze w ten pokój tak upragniony nie wierzę, pomimo nawet urzędowych zapewnień Biura korespondencyjnego i ciągle się spodziewam, że każe jutro może nam przynieść nową niespodziankę. A od soboty do czwartku może się zmienić bardzo wiele.

Aczkolwiek nie jestem panną, skoro niebiosa obdarzyły mnie wąsami, szanując przecież tradycję, lubię w wigilię nroczystości świętego Andrzeja ciągnąć wróżby. Po inne, lepsze lata używało się w tym celu roztopionego ołowiu lub wosku, który się potem wylewało na miskę z zimną wodą i z kształtów owego wylewu robiło się horoskopy na rok przyszły. Niestety, ołowiu dziś nie ma, gdyż uległ rekwizytowi na

cele wojenne, brak też i wosku, bo pszczołki zastrejkowały (tak samo, jak kury, nie chcąc za żadną cenę znieść jaj, nawet według taryfy maksymalnej!), ale od czegoż głowa, a w tej głowie rozum?... Wyciągnąłem gdzieś z ukrycia lojową świecę, przeznaczoną na jeszcze gorsze czasy, gdy już zupełnie nie będziemy mieć żadnych tłuszczów na omastę, stopiłem ją (knot zabrała Weronisia na nici) a potem wylałem zawartość na wodę. I, co Państwo na to powiedzą, ułalo mi się coś, co ogromnie kształtem przypomina figę, wobec czego jestem w ogromnym kłopotcie, gdyż nie wiem, czy źle się zabrałem do nieswojej rzeczy, czyli też z owych pokojowych pogłosek będzie w samej rzeczy figa. Bo i to, jak się już wyżej rzekło, nie jest wykluczone. Nie tracę przecież ani otuchy, ani nadziei, że wojna musi się przecież raz skończyć, jeśli nie teraz, to w każdym razie później.

Jeden z moich przyjaciół politycznych prosił mnie nawet, bym dołożył wszelkich starań w tym kierunku i ułyl swych wpływów, które, jak wiadomo, bardzo daleko sięgają, gdyż założył się ze swym znajomym, że wojna musi się w tym roku skończyć. A zakład to nie bylejaki, chodzi bowiem w tym wypadku o kolację na sześć osób i to nie w kuchni wywatkelskiej! Niestety, na ów festyn nie mam być zaproszonym, wobec czego zasłoniłem się neutralnością, której tyle już dałem dowodów.

Bylbym zapomniiał na śmierć dodać, że przy topieniu łoju na święto-andrzejskie wrizby użyłem jednej z zapalek, które mi, w liczbie trzynastu, nadstał w podarunku jakiś „czciciel ognia” i to gdzieś aż z włoskiego frontu! Za pamięć niniejszem serdecznie mu dziękuję, polecając się i na przyszłość łaskawym względem, co ma się w ten sposób rozniecić, że przy następnej posyłce powinien dołączyć bodaj pudełko cygar lub papierosów, bym miał co zapalić. A w tamtych stronach powinno tego artykułu nie braknąć, jak to wiemy z owego popularnego ongiś kupletu, iż „w Majlandzie i W-nedyku na drzewach tytoń w paczkach rośnie”. U nas rosną na drzewach ale liście kasztanowe, które w ostateczności mogą nam tytoń zastąpić, w każdym razie przecież tytoń prawdziwy jest i zdrowszy i smaczniejszy.

Na dzień świętego Andrzeja ułala mi się więc, jak się już wyżej rzekło, figa, lub coś do niej bardzo podobnego, cała teraz nadzieja w świętym Mikołaju, zbliżającym się ku nam wielkim krokiem. Co przyniesie, nie wiem, ale nie tracę nadziei, że przecież może coś takiego, z czego będziemy się cieszyć, więc, dajmy na to, pokój, choćby tylko na razie odrębny z samą Rosją. Mając z jednej strony wolne ręce, będziemy mieć więcej z drugiej strony swobody działania, więc może przecież doczeka się świeczka odpustu, czyli świat tak upragnionego pokoju.

W ubiegłym roku o tym czasie był Kraków jeszcze twierdzą i trudno było nieraz uzyskać pozwolenie na pobyt, choćby tylko bardzo krótki, obecnie święty Mikołaj z tem się liczyć nie potrzebuje, sądzą też, że nie zapomni o mnie i o reszcie Krakowian, czekających z utęsknieniem jego przybycia.

Złaje mi się, że nie mógłbym spokojnie zasnąć, gdybym nie zawadził o aprowizację, zwłaszcza, że od niej miałem nawet zamiar rozpocząć niniejszą kronikę. Asumpt od tego dał mi zjazd galicyjskich burmistrzów wszelkiego kalibru, którzy zgromadzili się w Krakowie, by radzić nad aprowizacyjną niedolą, dającą się wszystkim we znaki, jak kraj długi i szeroki. I znów stwierdzono jednomyślnie, że jest źle, a jeśli się stosunki nie poprawią, musi być jeszcze gorzej. Czy się jednak poprawią, tego nikt nie mógł powiedzieć, nawet ci, którzy stoją najbliżej wielkiego ołtarza. Pokazało się, jak na dłoni, że, czy to Kraków, czy Papiówka, choć obecnie grudzień, wszędzie prawdziwa bryndza majowa, a poprawy stosunków można się spodziewać chyba w... maju! Że nie jest dobrze, widzimy choćby z tej okoliczności, iż w dniu zjazdu, to jest 25 listopada, nie wydał Kraków bankietu na przyjęcie gości, jak to bywało po inne lata, a każdy z panów burmistrzów, o ile go połowica nie zaopatrzyła w prowianty na drogę, musiał na własny koszt krzepić strudzone pracą obywatelską ciało. Kilku było na obiedzie w kuchni obywatelskiej, skąd wyszli podobno całkiem głodni, klnąc na wojnę, na czem świat stoi.

Nastroż zgradowienia był bardzo poważny, w wieczniku magistrackim zgromadzili się przecież ojcowie tylu miast galicyjskich, od małych począwszy, a na największych skończywszy. Jakie uchwały powzięto, wie każdy z pism codziennych. Nie szczędzono obietnic, że będzie lepiej, że zaś one były na realnej podstawie oparte, mamy znów dowód, choćby tylko z tego, iż zaraz na drugi dzień brakło w Krakowie maki i chleba, jak zaś długo stan ten potrwa, tego nikt powiedzieć nie może, chyba jaki jegomość, wtajemniczony w *arcana* wojennego Zakładu obrotu zbożem i jego krakowskiej filii.

Nieszczęście lubi zaś chodzić w parze. Brakło maki

i chleba, radzą nam: jedzcie mięso! Ale tymczasem znów panowie rzeźnicy obrazili się, że ktoś im tam robi konkurencję i sprzedaje mięso o koronę taniej za kilogram, powiedzieli więc sobie, że nie będą bić bydła dla Krakowa. Gdy wiadomość o tem wyczytał w *Kuryerku*, zacząłem się już przygotowywać na śmierć głodową, co jednak nie doszło do skutku, z przyczyn odemnie niezależnych. Jak się stało i co się stało, nie wiem, tyle tylko mogę powiedzieć, że we czwartek uraczyła mnie moja zaćna połowica kawałkiem mięsa, czem taką mi radość sprawiła, iż niewiele brakowało, a byłbym ją może i uściśkał, gdyż spodziewałem się, że cały tydzień będzie beźmięsny, jak jest beźmięsny i bezechlebowy.

A tu, jak na złość, o owym wynalazku epokowym, mającym się przyczynić do masowego wyżywienia głodnej ludności, dotąd ani słycho. Wiemy o nim akurat tyle, co o zeszłorocznym śniegu, choć, kto wie, czy w jakim zapadłym kącie nie znalazłaby się bodaj mała kupka, mająca świadczyć, że Kraków umie szanować zabytki przeszłości.

Jest niema co, ale bodaj nie będzie się chodzić boso, gdyż dowiedzieliśmy się, że panowie szewcy otrzymali kilkaset, czy nawet kilka tysięcy kilogramów skóry na podeszwy, po cenie bardzo niskiej, wobec czego podzelowanie jednej pary powinno kosztować niejwyżej do ośmiastu koron wraz z robotą. Tak powiadają niefachowcy, trzeba przecież czekać na oświadczenie interesowanych, to jest majstrów szewskich, którzy z pewnością powezmą uchwałę, że wprowadzenie podeszwy są tanie, ale inne „dodatki” podrozały, wobec tego są zmuszeni do dalszego podwyższenia cen, by ratować zagrożoną egzystencję.

Tego rodzaju uchwały przechodzą zaś z zasady jednomyślnie, na punkcie bowiem zagrożonego bytu jest równie czuły szewc jak i rzeźnik, odbiorca tylko, zwykły śmiertelnik, musi siedzieć cicho i zdąć się na ich łaskę i niełaskę.

Niech sobie zresztą robią, co chcą. Panowała swego czasu u nas moda chodzenia bez kapeluszy, teraz bieda nauczy nas obywatela się bez butów, co nawet, wedle teorii ś. p. ks. Kueippa, ma być bardzo dla zdrowia korzystnem. Dawniej mówiło się „poznać pana po cholewach”, dziś, dzięki wojnie, społeczeństwo uległo demokratyzacji, a brak butów zrówna wszystkie stany.

Trudniej będzie, ze względu na publiczną obyczajność, obejść się bez innych części garderoby, w które teraz ani rusz się zaopatrzyć. Doszło do tego, że nawet wielcy w narodzie przyszwiceją ogółowi dziurami na łokciach, a kronikarz, patrząc na swe „niewymowne”, powtarza z bólem w sercu:

— Nie wszystko złoto, co się świeci!...

Na domiar złego, trapią nas ciągle wiatry i to jakieś prawdziwie stepowe, dotąd u nas nie znane, chyba wtedy, jak lut twierdzi, gdy się kto powiesił. Choć przykre to życie, tylu u nas przecież kandydatów na samobójców się nie znajdzie, referent więc od ich puszczenia widocznie nie jest fachowcem i odkręca, na utrapienie ludzi, stale niewłaściwy kurek. Złazszcza więc nadobna narzeka na te wiatry, iż paują jej loki, foki i kasfinry.

Myślę, że chyba nikt nie będzie mógł na mnie narzekać, że stale powracam do tego samego tematu i odbieram ludziom otuchę. Poruszyłem tyle najrozmaitszych tematów, że chyba jeszcze sięgnąć mogę tylko do beczki strategicznej i zająć się wypadkami na włskim froncie, te bowiem najbardziej nas obchodzi. Podobno Włsi, uciekając w popłochu, zostawili ogromne zapasy wszelkich artykułów spożywczych, nawet oleju rycynowego, ale my o tem dotąd nie wiemy. Być może, że coś było, ale widocznie ktoś się znalazł, co to zabrał, nam w zamian, byśmy nie wyszli z gołymi rękami, pozostawiając... jęńców do wyżywienia.

Walka toczy się tam ciągle, nie przynosząc bynajmniej chlubny włoskiemu orężowi. Genialny Cadorna poszedł w odставку, miejsce jego zajął podobno jeszcze genialniejszy generał Diaz. Czy mu się uda na prawić błędy poprzednika, niedaleka przyszłość pokaże, chyba, że ta wojna ma być w rzeczy samej trzydziestoletnią, wobec czego na rezultat trzeba byłoby czekać jeszcze bardzo długo.

Ale, jestem pewnym, że w danym wypadku na Kazimierz w Krakowie i w sąsiadujących z nim dzielnicach nie byłoby ani jednego mieszkańca, który nie mógłby się wykazać bodaj tylko milionem w gotówce.

Wówczas być inspektorem podatkowym to byłaby dopiero rozkosz prawdziwa!

